

TORPEDA

FAMA

43. MIĘDZYNARODOWY KAMPUS ARTYSTYCZNY
THE INTERNATIONAL ARTISTIC CAMPUS

ŚWINOUJŚCIE
17-31 VIII 2013

3



LUDU

Fragment poematu

Paweł Rogiński

DZIEKAN:

Niegdyś też byłem studentem, lecz dziś jestem tu.
Czy doczekam jeszcze zabaw przy Błk 182?
Może nazbyt szybko rozum podpowiedział mi:
odpocznij,
A czas niechybnie, raz na zawsze, już przekreślił mój
rocznik?
Nic bardziej mylnego, jeśli tylko ruszysz głową,
Ten rok niekoniecznie musi być kampanią wrześniową.

Lecz powaga i wyniosłość
Dzisiaj z miejsca idą na bok,
Bom nie tu na litość boską,
By wam wbijać myśli natłok.
Zapamiętaj studenciaku!
Sukurs w picu masz u kumpla,
Gdy ktoś spyta: z kimś tak zakułeś?
Odpowiedz: „choroba źródła”.
I nim spijesz się jak świnia,
Zapomnij o moralności.
(Kiedy przekrzywiony liniał.
Wybacz wadę nietrzeźwości).
Czwarta władza. Dziennikarze.
Możecie wyśmiać mój występ,
Alem jedynie attaché
(Niegdyś pisałem z Blomkvistem).
Teraz! – Przysięgam na matkę,
Iż rozwikłałem tę zagadkę.
I znajdę mości studenta,
Co wpisywał się w eventach,
Że nas w ten dzień tu uraczy
Swą osobą. Nie tłumaczy
Cię nic!!! Zobowiązałeś/aś
Się, na prędko wiedz waść –
- Gdy „IMPREZA” nocy hasłem
(Nie przekupisz „butką z masłem”)
Znajdę cię choćby padł mi komp!
Bez żadnych tłumaczeń, dziś wejście było za friko!
I nie mów mi znów: - nie mogłem.
Koleżanka co się szczerbi?
Noż twa psia mać, a tak w ogóle,
Jaki kurna drugi termin?
Nie ma opcji!!! Co do uczty,
Wieczór ten nad wyraz hucznym.
MA BYĆ!
Słuchaj zatem uczniu bacznie,
Bo nie mówię jednoznacznie.
Jam przybywszy w słusznej sprawie!
Dobry melanż? – Piątki wstawię.
Lecz niech kto odwali lipę
To mu wtedy: chuja! Cipeł!
Do krzeselka przymocuję,
Tak, że w stresie przekibluje
Rok następny, a co za tym
Idzie, to w indeksie daty
Nie ujrzy! Potem matula,

Nie da kasy – nie pohulasz.

NARRATOR:

Stary dziekan do młodzieży
Tymi słowy, grożąc palcem –
- Zwrócił się. Łapiąc za zeszyt,
Wyszedł.
Zaczęły się harce.

STUDENT:

- (Ale suka!)...CZEŚĆ ZATAŃCZYSZ?
Wszak kultura przede wszystkim.
Zachowany popęd samczy.
Oczy jakby zjadł dwie piksy:

- Jestem Piotrek – informatyk.
Siedzę w domu, nic poza tym.
Choć nie stronię od baletów
Gdy w chacie brak internetu.
Uczęszczam na Slam Poety,
Zabawkę skminiłem z Netii...
Fajne masz cztery litery,
Nie kumasz? To alt + F4

NARRATOR:

Przedrygał baran noc całą.
Jakby tego było mało,
Jemu równych piła masa,
Choć, i również wyższa klasa:

Gość ze szkoły teatralnej,
Wkręciwszy się w swą opowieść...
Nie dość, że słownictwo marne –
- Zaczął grzebać palcem w rowie.
Taki świetny aktoreczek,
Wsadź butelkę – wiem, nie piecze,
Miałeś wszak na fakultetach
Żarcik, co ci w dupie przepadł!

Studenciki z filologii
Rozważnie stawiali kroki,
Przy tym gawędząc wyniośle,
Gestykulując rękoma.
Jeden chłopak prawie oślepl.
Lecz uleciał niby komar.

Tańczyły kobitki z „PRAWA”,
Żadna z nich, broń Boże łatwa!
Dumne niczym kuper pawia...
A wystarczyły piwka dwa,
I już pupkę w lewo, w prawo,
Zrobi obrót, tak zarzuci!
Chłopcy gwizdzą! Biją brawa!
Jeden z wrażenia się spuścił...

Jej na twarz...UUU! Aż zagrzmiało!?
 Prawdą jest – zasmakowało?
 Tak się sucz wzbraniała dzielnie,
 Teraz zaś z zachwyty pierdnie.
 (pryk)
 Do jutra zapomni o tym
 Choćby dokoła szły ploty,
 Gdyż sędzinie nie przystaje,
 By się na nią spuszczał frajer.
 Zakłamanie, smutne picze –
 (Za dużo ich, więc nie zliczę),
 - Większość z nich, z góry wstręt rodzi
 Póki cipcia im nie psoci.

(Z końca Sali słysząc wrzawę,
 Ktosik rozkręca zabawę).



fot. Paweł Łęczuk

Duszności

Agnieszka Horodyska

Jestem małoduszna jak ćwierć ćwierci psa
 Bo i w instynktach można mieć gest
 Machać szeroko uśmiechem dla
 Jak pies

Jestem małoduszna jak pół krasnoludka
 Nie mogę się wyrwać z perspektywy mchu
 Może z dzieciństwa zardzewiała kłódka
 Ze snu

Jestem małoduszna jak robak na pieńku
 Nie wie skąd słońce tak mocno pali
 Nie wie dlaczego się lepiej po ciemku
 Żali

Pergamin

Katarzyna Prędotka

Panowie w nocnych barach
 rozciągnięci, pochłonięci.
 Oparami wódki – zniewoleni, przyciągnięci
 Do drewnianej, mokrej od procentów lady.
 Gdy barmistrz sa - krzyknie,
 To wygrywają...
 Kolejkę drinków czystych,
 W których ćmy umierają najczęściej.
 Nie poskładane życie z poskładanych historyjek
 Nie posklejane życie z samoprzylepnymi materiałami
 Odtrącenie porządku
 Przygarnięcie chaosu
 Wdającego się w życie codzienne.

Afirmacja sublimacji
 Przejście ze stanu ciekłego w ciekły
 Najważniejszy stan, to płynność,
 Ale pewność że nie pieniędzy i myśli
 Z higieną nie tylko tych drugich też jest nieco mały
 problem.
 Jednak [ale] brak mimicznego szczęścia
 - choć w euforii;
 Rekompensuje braki ich, im wszystkim

Nie poskładane życie z poskładanych historyjek
 Nie posklejane życie z samoprzylepnymi materiałami
 Odtrącenie porządku
 Przygarnięcie chaosu
 Wdającego się w życie codzienne.

Panowie w nocnych barach,
 Kończą dzień powoli
 Lecz czekają, aż się ściemni, by nie odczuli bólu głowy.
 Odkrywają źródło światła [wreszcie]
 Choć ich oczy to boli
 Przedzierają wątłe dusze
 Przez kurz, beton, opary.
 Wymieniają resztki sumień
 W miejscach zwanych
 Ściekiem miasta, preriom zapomnianych.

Z n ó w...
 Z n ó w...
 Z n ó w...

Schabowy raz!

Maksymilian Salski

Wstaję rano zmęczony tym dniem, co dopiero przede mną. Po co się kłaść w ogóle, skoro nic z tego nie przychodzi, prócz snów. A i z nich, z tych snów, mam coraz mniejszy pożytek. Ostatnio, to albo spadam, albo mnie gonią przez Biedronkę jamniki szorstkowłose. W kółko tylko takie dni, że albo wstawać nie chcę, albo kłaść się boję, że te jamniki albo spадanie. Nic przyjemnego za dnia i w nocy. Pełen cykl siania mi piachu w oczy. Ani chwili odłogiem nie leżę. Eksploatowany na okrągło, w nijakiej glebie, na farmie zwanej twórczością. Żadnej świni nawet nie ma, co by bunt chciała podnieść i obalić mnie, z mojej farmy, z moich butów, ze mnie samego. Żeby tak ktoś wziął i wywinął mnie na lewą stronę, bym mógł się poczuć bardziej świeży. Albo, żeby zapukał do moich drzwi Zygmunt Chajzer ze swoim proszkiem, czy ten drugi od płynu do mycia naczyń.

- Czy zdarzyło się panu natknąć na plamę, której nie mógł pan sprać?

- Oczywiście, sam dla siebie nią jestem, jednym wielkim kleksem na śnieżnobiałym obrusie wymagań i oczekiwań.

-W takim razie mam dla pana coś odpowiedniego. Ten oto proszek wypierze każdą, nawet najgorszą plamę.

- Nawet taką jak ja?

- Ależ oczywiście, czy chce pan się przekonać?

- Pewnie!

Idziemy do łazienki, gdzie napuszczam wody do miski, bo w telewizji to tylko miska wystarczy żeby pozbyć się jakiegokolwiek plamy.

- Ma być ciepła czy zimna?

- Obojętnie, ten proszek radzi sobie z plamami nawet bez wody.

- A niby, w jaki sposób?

- Już panu demonstruję.

Chajzer starannie i szybko ściąga ze szklanej półki moje kosmetyki i formuje na niej ścieżkę z proszku. Biała autostrada z niebieskimi punkcikami ciągnie się przez szklany step. Chajzer wyciąga z kieszeni banknot dwustuzłotowy, zwija go w rulon i wciąga całą kreskę. Patrzę na niego i faktycznie z sekundy na sekundę robi się coraz bielszy. Ledwie go widzę na tle ściany koloru "śnieżny podmuch". Jak kameleon wtapia się w otoczenie aż w końcu znika.

- Panie Zygmuncie, jest pan tu?

- Ależ oczywiście, stoję przed panem. Jak się panu podobają odplamianie?

- Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem.

- Nie pierwszy raz to słyszę.

- I ja też tak zniknę?

- Pan, ja, wszyscy. Proszek działa na każdą plamę.

Koniec historii. Chajzer nie puka. Proszku nie ma. Zostałem ja, sam ze sobą. Towarzystwo nieciekawe. Podchodzę do lustra:

- I co robimy?

- Nie wiem, ja tu tylko stoję.

- To rusz się kurwa. Ile można w miejscu stać.

- To nie takie proste.

- Sroste. Znam cię. Jakbyś chciał to byś się ruszył.

- Sam się musisz ruszyć.

- Nie będziesz mi mówił, co mam robić.

- Jak nie ja, to kto? Spójrz na siebie. Jak ty wyglądasz? Weź się ogarnij. Napchaj chmur w buty. Złap wiatr w ręce. Wyprostuj się do słońca. Wyjdź na miasto. Pokaż ludziom, że istniejesz.

- Przecież wiesz, że próbowałem. Okazuje się, że nie istnieje.

- Mówisz jak cipa.

- Zamknij się!

- Cipunia!

Uderzam się w twarz. Morda nie szklanka, mówili, a jednak się tłucze. Leżę na ziemi w liczbie mnogiej. Krew się leje. Leci w dół, a jednak dosięga mej głowy, głów. Jest mnie tylu, że zaraz oszaleje. Patrzę na siebie, na ziemi. Krew leci z dłoni. Patrzę na dłoń. Palce się zgadzają, ale bez szcicia się nie obejdzie.

Iść, czy jechać. Może się wykrwawię, to pójdę. Bandaży nie mam. Ścierki wszystkie brudne. Ręczników szkoda - może jeszcze kiedyś się umyję. Wkładam dłoń w rękawicę kucharską. Zakładam buty. Wychodzę.

Chodnik jest mój. Ludzie widząc mnie przechodzą na drugą stronę ulicy. Liczą się ze mną i to mnie cieszy. Idę więc uśmiechnięty, w rękawicy kuchennej, z której kapie krew. Niewiele krwi trzeba by zwrócić na siebie uwagę. Jakaś starsza pani woła do mnie z trzeciego piętra, czy dostanie jeszcze świeżego schabu. Mówię jej, że schab już wyszedł, ale jak się jutro mocniej postaram, to może coś dla niej uchowam. Kobieta dziękuje i mówi, że będzie wdzięczna. W końcu ktoś mi wdzięczny za coś mojego, więc uśmiecham się jeszcze bardziej. Radość na twarzy taka, że blockersi z osiedla pytają mnie, po czym tak mam i czy coś mi jeszcze zostało do odsprzedania. Mówię, że zostało. Wyciągam z portfela sześć tabletek Stoperanu, biorę za nie trzy dychy od sztuki, a na koniec dodaję, że najlepiej działa jak się bierze po dwie na raz. Trip jest taki, że przez parę dni usiąść nie można. Tak im mówię na odchodne i widzę, że ich twarze zakwitają radością podobną do mojej. Tyle dobra jestem w stanie dać temu światu i to z rozciętą dłonią w rękawicy kucharskiej.

Pogotowie tuż, tuż. Zaraz znowu będę normalny. Z prawie sprawną ręką w prawie sprawnym świecie. Przed samym pogotowiem zatrzymuje mnie policja:

- Dzień dobry, młodszy funkcjonariusz Arkadiusz Kwiatek, czy mogę zobaczyć pańskie dokumenty.

- Dzień dobry panie władzo, czy zrobiłem coś złego?

- Nie, to rutynowa kontrola.

Wyjmuję dowód osobisty z portfela i podaję drugiemu, co wygląda jakby pierwszy raz został wezwany do tablicy.

- Czy widział pan coś podejrzanego? - pyta Kwiatek.

Drapie się po głowie rękawicą kucharską, z której kapie krew.

- Nie wydaje mi się, panie władzo.

- Paweł, spisałeś pana?

- Jeszcze nie, bo się długo nazywa.

- To znaczy?

- Ma-ksy-mi-lian - wydukał Paweł.

- Brawo, panie władzo - pogratulowałem funkcjonariuszowi.

-Pan się śmieje z mojego partnera?

-Nie śmiałbym, panie władzo.

-No ja myślę. Paweł, oddaj panu dowód. Nie mamy całego dnia.

Paweł oddaje mi dokument, a w jego oczach widzę całą nienawiść do mojej osoby. Jaki zawód sprawiło mu moje imię, to zrozumie nie tylko Paweł. Cóż, wszystkich nie zadowolę, nawet w rękawicy kucharskiej.

Wchodzę na pogotowie. Pani w recepcji uśmiecha się na mój widok. Kolejny zadowolony klient. Podchodzę do niej szybszym krokiem. Odzywa się pierwsza:

-Jak miło pana widzieć.

-Mi panią również. Czy my się znamy?

-Nie, proszę pana, ale dobrze jest w końcu mieć przypadek inny niż gimnazjaliści po przedawkowaniu Acodinu.

-Acodinu?

-Tak, syropu na kaszel, dostępnego też w tabletkach. Młodzież się nim odurza.

Nagle przypominam sobie jak dwa tygodnie temu byłem w aptece. Powiedziałem farmaceucie, że mam kaszel i potrzebuje jakiegoś syropu. Jej spojrzenie jak Monar o zaostrzonym rygorze. Jak neon "zażywasz, przegrywasz!" Jak cała armia terapeutów ze świętej pamięci Markiem Kotańskim na czele. Taki mały się przez nią zrobiłem, że ledwie nad ładą nosem wystawałem. Czyżbym poprosił ją o morfinę bez recepty? Chyba nie. Ona dalej się tak na mnie patrzy. Wzroku ze mnie nie spuszcza. Ręką czegoś po omacku szuka. Myślę sobie- pewnie jakiś sprej na ćpunów. Mówię, żeby załagodzić sytuację, że może chociaż Rutinoscorbin jakiś albo witaminę C? Ona nic. Dalej czegoś szuka i nagle kładzie na ładę broszurkę o uzależnieniach, po czym mówi:

- Jeszcze nie jest za późno.

- Pierdoleni gimnazjaliści, za przeproszeniem - mówię do pani z recepcji. - Przez nich dwa tygodnie z kaszlem chodziłem. Teraz się wstydzę do apteki zejść.

- Nic pan nie poradysz. Smutne dzieci chodzą do smutnych szkół...

- I czytają smutne lektury - przerwałem recepcjonistce - W sumie, to się nie dziwię, że się otumaniają.

- Tyle, że to już przesada, proszę pana. Potem smarki biegają po korytarzach jak po tęczu, jedzą kredę jak czpisy, a nauczycieli traktują jak rodziców. Plują im w twarz i proszą o pieniądze.

- A to gnojki!

- A żeby pan wiedział.

- To może trzeba wprowadzić sprzedaż syropu na receptę.

- Pan chce żeby te wszystkie dzieciaki w depresję wpadły?

- A czemu nie?

- Część z nich się powiesi, a pozostali dostaną leki mocniejsze od syropu.

- Czyli nie ma dla nich ratunku?

- Nie ma, ale mnie to nie dotyczy. Zanim pokolenie

Acodinu dorwie się do władzy, to ja już będę na emeryturze. Za to pan powinien się martwić.

- Na razie martwię się o swoją rękę.

- Ojejku, najmocniej przepraszam, zapomniałam. Zaraz panu pomożemy.

Miła pani prowadzi mnie do gabinetu, w którym siedzi młody lekarz:

- Dzień dobry! - wita mnie energicznie. - Co panu dolega?

- Nie wiem od czego zacząć, ale pan to chyba jest w stanie pomóc tylko mojej dłoni.

- Proszę w takim razie zdjąć tę rękawicę.

- Chwila. Tak od razu do rozbierania? Mam trochę szacunku. Może najpierw porozmawiamy?

- O czym?

- Nie wiem. Najlepiej o panu. Muszę lepiej poznać człowieka, któremu powierzę swoją dłoń.

- Co chciałby pan o mnie wiedzieć?

- Może coś o pańskim życiu uczuciowym, to wiele mówi o człowieku. Pan taki przystojny. Tak przystojny, że aż ładny. Pewnie ma pan wiele adoratek. Założę się, że pani z recepcji się w panu podkochuje.

- Ta stara baba? Przecież ona jest dobrze po pięćdziesiątce.

- Co pan chce przez to powiedzieć? Że ci ludzie nie mogą kochać, podkochiwać się? Że nie dla nich odrobina fantazji? Że miłość dla nich jest już skończona. Że ich seks to nekrofilia. Że ich uczucia to przegnite korzenie? Że...

- Nic takiego nie powiedziałem. Chodziło mi tylko o to, że ja...

- Że jest pan młodym półbogiem, który ratuje ludzi, ma wyższe wykształcenie i możliwości większe niż niemieckie auta?

- Nie, ja po prostu... Znaczy... Czy możemy już przestać rozmawiać o mnie i przejść do pańskiej dłoni. Proszę zdjąć tę rękawicę.

- Nie jestem pewien czy chcę. Lepiej się czuję jak mam ją na sobie.



fot. Paweł Łęczuk

- Ale wtedy nie będę mógł panu pomóc.
 - Jak na razie ona pomaga mi bardziej.
 - Cóż, może w takim razie przynajmniej powie mi pan jak to się stało.
 - Biłem się.
 - Z kim.
 - Przecież mówię, że się.
 - Się pan bił?
 - Się, siebie jak pan woli.
 - Ale jak pan to zrobił?
 - Normalnie, walnąłem się w twarz. Twarz okazała się lustrem, lustro pękło i okazało się ostre i... reszty chyba się pan domyśla.
 - Obawiam się, że bardziej przyda się panu inny lekarz, ale najpierw muszę zaopiekować się pańską dłońią.
 - To może umówimy się na inny termin. Widzi pan,

jutro mam spotkanie z pierwszą fanką. Przemiła staruszka z trzeciego piętra. Mam dla niej coś specjalnego, od siebie, a obawiam się, że bez ociekającej krwią rękawicy kucharskiej może mnie nie poznać.
 - A ja się obawiam, że do tego czasu może pan...
 - To do piątku - przerywam lekarzowi i podnoszę się z fotela.
 Chirurg wybiega za mną na korytarz. Słyszę jego kroki. Czuję, że będzie mnie przekonywał, że chce mi pomóc. Może nawet się zgodzę, w końcu rąk za wiele nie mam:
 - Proszę pana! Proszę poczekać! - woła, a ja jestem gotów oddać mu się pod opiekę.
 - Proszę chociaż powiedzieć kto wygrał?
 - Nie wiem - odpowiedziałem zawiedziony - to jeszcze nie koniec...

Ludzie umierają

Tadeusz Rubik

Hubert Klimko-Dobrzaniecki

Grecy umierają w domu

Społeczny Instytut

Wydawniczy Znak

Kraków, 2013



Grecy umierają w domu Huberta Klimko-Dobrzanieckiego, jak czytamy na okładce, to *nostalgiczna opowieść o bolesnych prawdach i trudnych miłościach. O tęsknocie za ojcem, którego nigdy nie było. O zderzeniu kultur i konflikcie historii.* Nie wszyscy wiedzą, że po wojnie domowej, toczącej się w Grecji w latach czterdziestych, w Polsce pojawiła się mniejszość narodowa złożona z uchodźców-partyzantów i ich rodzin. Po kilku dekadach rezydowania w kraju, którego wchodnioeuropejskość kończy się na Wiśle, a po drugiej stronie już Azja (jak pisze autor), niegdyśiejsi komunistyczni bojownicy w większości powrócili do ojczyzny po upadku wojskowej junty.

Historia głównego bohatera, Arisa Sallasa, różni się jednak od jego wygnanych pobratymców. Rodzice bohatera nigdy nie wykazywali chęci powrotu do kraju przodków. Bohater wyjeżdża do Grecji po zdanej maturze, chwilę (kilka lat) przed wybuchem stanu wojennego.

Poznajemy go jednak trzy dekady później. W Grecji kryzys, w Atenach niespokojnie, zamieszki, palenie opon. Dlatego Aris, piszący książkę-wspomnienie swych rodziców (zwłaszcza ojca) decyduje się na wyjazd do domu pracy twórczej na jednej z greckich wysp. To miejsce jest centralą jego pierwszoosobowej narracji, podzielonej na dwie linie. Pierwsza to fragmenty pracy pisarza, a więc retrospekcje. Narrator jeszcze raz przygląda się ojcu, próbuje przywołać dziecięce mitologizacje taty jako Posejdona, matki jako (przechrzczonej) katolickiej świętej. Druga linia narracji to wydarzenia obecne, to jest rozmaite pery-

petie pięćdziesięcioletniego Arisa w domu pracy twórczej.

Książka nie powaliła mnie na kolana. Najpoważniejszym zarzutami będą zarzuty wobec języka. Mnóstwo w nim inwersji Gombrowiczem zalatujących, żywcem z niego jakby wziętych. Nie brzmią naturalnie nawet dla narratora-pisarza. Kolejna spora operacja na języku to rymowanie opisów świata, bardziej udana, choć Masłowską zalata. Krakowsko-częstochowskie rymowanki doskonale oddają frustrację bohatera, cholera.

Mocną stroną książki Klimko-Dobrzanieckiego jest kreacja bohatera. Żywy, ludzki, swoją przeszłość i przyszłość mający, coś robić chcący, czegoś nie chcący. Momentami podobny do innych, momentami naprawdę dziwny. Nie umiem powiedzieć, czy reprezentatywny jest dla mniejszości greckiej, nie sprawia jednak wrażenia everymana, tak jak jego bliscy na pewno nie są everyfamily.

To, co książce *Grecy umierają w domu* robi najlepiej, wiąże się ze zbiegami okoliczności. Książka najlepiej zaskakuje. Aris Sallas trafia na ludzi, którzy mogą mu dać to, czego sam nie ma, on odwodzi się im tym samym. Te zbiegi okoliczności prowadzą do rozwiązania akcji w końcu powieści. I dlatego rozwiązania można przeczytać tę książkę.

Warto jeszcze wspomnieć, że nostalgiczna opowieść Huberta Klimko-Dobrzanieckiego jest opowieścią o miejscach: ojczyźnie prawdziwej, ojczyźnie zastępczej, miejscu walk, miejscu śmierci. Również o miejscu pamięci. Całkiem jak FAMA w tym roku.

Wiosna z dachem nad głową

Piotr Olejnik

Wreszcie

Słońce po długiej nieobecności hop zza chmur
skok rozbił szare, nierozdzielalne, zamglone pole
OH AH otwieram mój wór

W końcu

Choć droga, zamiast z tejże składa się z nagłych dziur
odórbrukodórspalina- zasrane parasole
to woła ktoś po mnie z gór.

Teraz

rzuce, na pewno, zniszcze
jak mogę przecież, całkiem odejdę
tylko buta zawiąże, albo nie będę
właściwie mam wygrane piszczę i piszczę
PISZCZĘ

Przyjebałem głową w mur

nastąpiło to chwilę po tym
jak otworzyłem TEN WÓR
tkwiąc w punkcie zawartym w pierwszej
płaszczyźnie pośrodku halogenów
i w drugiej
płaszczyźnie gdzie zawarty był lekko na lewo od jednej z szyb
xxxktórychjestwielexxx

I żeby była jasność
po prostu siedziałem i udawałem
każdy czasem lubi

dalej nie ma słońca
dalej tylko chmury

NAJWYRAŹNIEJ MI PASUJE

długie popołudnia

Martyna Tomczyk

sierpień się wylał skwarem na beton jeszcze unosi się para
przysłania oczy i rozpływają się bezbronne ciała ostatnich ocalałych ludzi
jak tłuste plamy albo lód z wczorajszych drinków

wsiąkają w koce rozsiane po parkach próbując łapać ostatnie promienie urlopów
każde drgnienia liści odczytując jako złą wróżbę albo bolesny powrót

zaczynam myśleć że jednak nie przyjdiesz

Upadek

Aldona Keklak

Był rok 1969. Ciepły początek września. Lato powoli zaczynało chylić się ku końcowi. Przyjemny odgłos morski fal rozbijających się o skały dochodził do moich uszu. Słońce przyjemnie grzało dając tym samym wytchnienie po wyjątkowo upalnym lecie. Zatraciłem się na chwilę w swoich myślach, jednak dźwięki muzyki oraz śmiechy przyjaciół ani na chwilę nie osłabły. Mimowolnie uśmiechnąłem się do siebie, jednocześnie otwierając oczy. Przede mną tańczyła Rosie. Ubrana była w długą do kostek sukienkę, a jej rozpuszczone sięgające pasa włosy zdawały się tańczyć razem z nią. Wyglądała tak beztrosko i lekko, iż odniosłem wrażenie, że zaraz uniesie się w powietrzu. Za nią na trawie leżało troje młodych ludzi. Victor trzymał w ustach źdźbło trawy, Aria położyła

głowę na jego brzuchu i rozmawiała o wrażeniach po minionym festiwalu z Oscarem, który stał przed nimi poruszając się w rytm muzyki i co chwila spoglądając tęsknie w stronę horyzontu. Wszystkie nasze ideały, wszystko w czym pokładaliśmy nadzieję okazało się tylko pustymi hasłami, za którymi, pomimo usilnych starań wielu z nas, tak naprawdę nie stało nic. Nie udało się wzniosłych haseł, poglądów wcielić w życie i pchnąć tym samym nasze społeczeństwo w innym kierunku, poszerzyć horyzonty. Trudno uwierzyć, że już za kilkanaście dni nasze życie miało ulec zmianie. Mieliśmy wkroczyć w dorosłe życie. Życie, od którego tak naprawdę próbowaliśmy cały czas uciec.

przejścia nie ma

Zuza Ogorzewska

jeśli dobrze pamiętam to o zabawę
chodziło boso, w gładkich, naokoło
ruch był jedynym celem
granice jak kilometry taśmy klejącej
dawało się przegryźć i popić

tak naprawdę wszystkim chodziło o jedno
za drugim a po wielu ścieżkach
kolana słabną, zejście jest trudniejsze
są zakwasy a nie ma na chleb

prędzej czy później trzeba odpowiedzieć za
zaczepki i przełamać się jak sople wódki
która długo ściekała z biału a przecież
nie ma czego żałować, skoro zamarzała

dalej i głębiej są lepsze źródła
frustracji nie ma
to jak iść na całość
i zaznać spokoju – tak z zaskoczenia

irytuje tylko ciąg dalszy
gdy już się wyda że zawsze był blisko
i nawet bawił się lepiej ode mnie

przeszłam samą siebie
i zaszałam się od tyłu

Narzekanie

Piotr Olejnik

Dla dzieci, nie nauczonych grzeczności
Dla kwiatów, którym brakuje smukłości
Nie mam cierpliwości

Dla panów, wykrzywionych w bezczelności
Dla smutnych, którzy nie skaczą z radości
Nie mam cierpliwości

Dla elit, śniętych w środku mądrości
Dla skarbów, będących źródłem zazdrości
Nie mam cierpliwości

Dla kobiet, częstego złudzenia miłości
Dla szefów, okrągłych butli wredności
Nie mam cierpliwości

Dla chłopów, skulonych w nieświadomości
Dla mężczyzn, nie zawsze proszonych gości
Nie mam cierpliwości

Dla zwierząt, skaczących w brudnej zarośli
Dla wesołków, ich ust pełnych lekkości
Nie mam cierpliwości

I dla swojej mędrkowatości
Słownej i myślowej gnuśności
Nie mam już w ogóle cierpliwości

Ciekawe skąd ją bierze reszta świata

Pół litra kosztuje mniej niż książka

Tadeusz Rubik



Tadeusz Rubik: Debiutował Pan stosunkowo późno. Pisał Pan przez cały czas, czy dopiero po pewnym czasie na to się zdecydował? Czy może pisanie pojawiło się w formie impulsu, pod wpływem doświadczenia?

Hubert Klimko-Dobrzaniecki: To zależy jak sie na sprawę spojrzysz. Debiutowałem tomikiem wierszy po islandzku, był rok 1999, miałem wtedy trzydzieści dwa lata, czyli nie byłem bardzo młodym debiutnmem, ale też nie bardzo późnym. Polski debiut, czyli proza, miał miejsce dziesięć lat temu, czyli późny niby, ale wie Pan, człowiek ma tyle lat, na ile się czuje. Ja się czuję bardzo młodo.

TR.: Ma Pan wśród pisarzy nauczycieli, czy mistrzów?

HK-D.: Mam. Są to klasycy skandynawscy. Hamsun i Laxness.

TR.: W swoich pracach dąży Pan do ukazania pewnych zjawisk, zwrócenia na nie uwagi, tak jak w *Grecy umierają w domu* sprzedaje Pan informacje, że przez długi czas w Polsce przebywała dość liczna diaspora grecka. Wprowadzając nowe tematy do literatury ("depresyjna Islandia", czy właśnie ta mniejszość narodowa), staje się Pan w pewnym sensie dokumentalistą. Przybrał Pan taką strategię twórczą, czy znajduje w sobie pewne zacięcie publicystyczne?

HK-D.: Piszę o tym, co mnie interesuje, inaczej się nie da. Trzeba też wiedzieć, co się pisze i wtedy jakiś pobyt, jakieś spotkania, pomieszkiwania stają się bardzo pomocne. Ale - moje książki - ich akcja, rozgrywa się w pewnych dekoracjach. Tematy pozostają uniwersalne. Obojętne, czy to Islandia, Polska, Grecja, Austria. Czy mam zacięcie publicystyczne? Raczej w normie. Moja psychiatra nie wytykał mi nigdy zbyt-niego odlotu w tym kierunku.

TR.: Wydaje mi się, że (w *Grecy umierają w domu*) prowadzi Pan grę - grę ze stereotypami (na przykład ojca), grę z konwencją (zakończenie, przywodzące na myśl

pewien antyczny dramat) i w końcu grę z czytelnikiem (poprzez uczynienie narratora pisarzem). Cemu ta gra służy?

HK-D.: Przewrotnie mówiąc, ta książka nie jest podtrzymywaniem mitu ojcostwa, to jest książka o odmilogizowaniu mitu. Choć do ostatnich stron prowadzę grę. Potem jest cegła w głowę. Żeby nie było tak fajnie i miło. Ostatecznie ta książka, to jest grecka tragedia.

TR.: W jakich barwach widzi Pan przyszłość literatury? Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że ukazując środowisko z domu pracy twórczej wskazuje Pan na słabą kondycję literatury.

HK-D.: Nie jestem jasnowidzem. Jedno jest pewne - będą czytelnicy, będzie literatura. A jeśli chodzi o jej kondycję, to różnie bywa, w różnych miejscach świata. W Afryce mało czytają, w Polsce też. W Niemczech, Francji, Skandynawii jest dużo lepiej. Polska jest krajem rozwijającym się. Pół litra kosztuje mniej niż książka. Proponuję podnieść ceny wody o trzysta procent.



Ważki i ćmy

Marta Marciniak

przed rzeką jest rzeka zieleni
i skalne schody i trochę mchu
a między rozmowami wszystko się czerwieni
między ustami jest gorąc i plusz

więc wszystko się wzbiera i wzrusza
jak ruchome są schody jak trzepoty fal
rzędy żeber i biodra to jakoś ogłusza
to jakoś drażni zaproszenia w sen

aż w końcu promień przepali tę zielen
i zrobi się suchość dziwny głupi żart
z którego na pewno nikt tu się nie śmieje
płynność w gardle gładkość i potworny głód

Współlokator

Piotr Oprządek

W pradawnej dżungli żyło plemię prostodusznych małp, trochę przypominających goryle. Pewnego dnia przyszło w nim na świat małpiątko wyjątkowe – szczupłe, drobne, z nienaturalnie wydatnym tyłem głowy i ostrymi zębami. Rodzice byli nim zachwyceni, a w wiosce zapanowało ogólne poruszenie. Niektórzy szeptali nawet, że narodził się geniusz. Dorastało otoczone troskliwą opieką, a z każdym dniem rosła jego odmienność. W przeciwieństwie do spokojnych, a nawet flegmatycznych ziomków wszędzie było go pełno, a zamiast w pędach bambusów gustowało w drobnych gryzoniach. W częstych, coraz okrutniejszych psotach ujawniła się wrodzona złośliwość, jednak miłość rodzicielska nie pozwalała na wymierzenie odpowiednio dotkliwej kary. Gdy małpiątko wyrosło na młodą małpę, było powszechnie znane ze złego charakteru i skłonności do burzenia zgody w stadzie. Starym już rodzicom przyprawiało wielu zmartwień, jednak kochali syna nad życie i jak tylko mogli ochraniali przed gniewem współplemieńców. Pewnego dnia małpi odmieniec spotkał najohydniejszego zwierzę w dżungli i od razu się z nim zaprzyjaźnił, o ile podobną relację można nazwać przyjaźnią. Wspólnie urządzali wyprawy, podczas których zanieczyszczali wodopoje, niszczyli wiekowe drzewa i zabijali i małe zwierzątka, jednocześnie szukając okazji do zrobienia krzywdy sobie nawzajem. Poznał także inne osobniki tego gatunku, a z czasem, dzięki warunkom fizycznym i bezwzględności, wyrósł na ich przywódcę. One zaś nauczyły go fałszu i wyrachowania. Tymczasem stary małpi wódz powoli umierał. Wszyscy się smucili, a odmieniec, korzystając z nowych umiejętności, smucił się wraz z nimi. Zaczął poświęcać pomocy współplemieńcom cały wolny czas, a dzięki wyjątkowej bystrości potrafił zaradzić nawet najtrudniejszym problemom.

- Dojrzał i zmądrzał. Mamy oparcie na stare lata, a i wioska będzie miała z niego pożytek. – Mawiała z dumą jego matka, a ojciec kiwał masywną głową. Pocziwe małpy szybko zapomniały o młodzieńczych ekscesach odszczepieńca, a gdy wódz pożegnał się wreszcie ze wszystkimi i skonał, wielu widziało w nim następcę tronu.

Pewnego razu małpi syn wpadł na pomysł, który nie dawał mu spokoju. Wykraść się w nocy i spotkać z najobrzydlivszymi ze zwierząt. Obradował z nimi do białego rana, a następnego dnia podstępem wybawił rodziców na skraj dżungli. Gdy wycieńczone długą drogą małpy dotarły na miejsce i spojrzały nań ufnie i pytająco, zagwizdał na ukrytych nieopodal pomocników i wspólnie je ukamienowali. Nie miał ku temu żadnych powodów. W wiosce nikomu nawet nie przeszło przez myśl, by zweryfikować opowieść o nieszczęśliwym wypadku. Wszyscy płakali wraz z nim, a gdy minęła żaloba, wybrali go na wodza. A on rządził, uchodząc za mądrego i dobrego i tylko czasami wymykał się w nocy, by pośmiać się z rozkładających ciał rodziców...

Dwie godziny po północy wewnątrz kawalerki już dawno zatraciło swą realność, a gęsta ciemność próbowała wtargnąć do środka przez uchylone okna. Siedział na kanapie rozebrany do pasa. Nie zajmował się niczym konkretnym. Odkąd pamiętał, dręczyła go bezsenność. Opisywaną osobę, na potrzeby niniejszego tekstu nazwijmy ją Młodzieniec, od wczesnego dzieciństwa prześladował sen o wyrodnej małpie. Co prawda śnił go dawno temu i tylko raz, jednak powracał na jawie przy każdym kryzysie psychicznym czy przygnębieniu. Tego dnia również byłby utonął w marze, gdyby nie pukanie do drzwi. Nie uwierzył w nie, jednak gdy rozległo się jeszcze dwukrotnie, dla świętego spokoju wyjrzał przez judasz. Podskoczył trochę ze zdumienia, trochę z radości i natychmiast wpuścił przybysza.

Już od przebudzenia o trzynastej czuł się osowiały, a po zmroku zajęły go rozmyślenia o sobie. Im dłużej myślał, tym większą czuł niechęć do siebie, a samotność wcale mu nie pomagała. Z drugiej strony wiedział, że zarówno przemęczenie bezczynnością jak i wrodzona dwubiegunowość temperamentu doprowadziły go właśnie do punktu granicznego, toteż po następnym przebudzeniu będzie miał o sobie mniemanie wręcz za dobre, które powinno starczyć aż do kolejnego przesilenia. Spojrzał na stopy i zdało mu się, że porastają czarnym włosiem. Zamknął oczy. Po otworzeniu okazało się, stopy są po prostu brudne, a światło rozkołysanej żarówki baraszkuje po nich wraz z cieniami. Poczuł potrzebę rozmowy, z kimkolwiek, byle teraz, zaraz, byle wypłuć z siebie całe zamroczenie i zyskać oparcie z zewnątrz. Coś poruszyło się w kuchni! Może to Januszek wrócił wcześniej i dla żartu wszedł przez kuchenne okno? Przecież robił to wielokrotnie...

Wtedy był to tylko plakat, który odlepił się już od dłuższego czasu, a w końcu zerwał go przeciąg. Jednak teraz w drzwiach stał Januszek, współlokator, który niedawno wyjechał na wakacje.

- Można wejść? – Spytał z przekąsem, przekroczył próg i uśmiechnął się, a w oczach błysnęło mu coś, czego Młodzieniec nie potrafił zrozumieć. Przyjacieli sprawiał wrażenie całkowicie przemoczonego, mimo że nie padało od wielu dni. Nawet ściskając jego suchą dłoń Młodzieniec mógłby przysiąc, że jest mokra. Usiedli na kanapie. Januszek założył nogę na nogę i nonszalancko zarzucił ręce na oparcie, Młodzieniec zaś przycupnął na skraju materaca i wbił wzrok w kolana kolegi.

- Co cię tak wcześniej przywiało? – Zapytał.

- Tak wyszło... – Odpowiedział tamten, wyszedł do kuchni i wrócił z butelką wina. – Napijesz się, prawda?

- No jak tak, to tak.

Januszek nalał krwistego płynu do filiżanki i wręczył ją kompanowi

- Pij, to nic nie kosztuje! – Wyszczerył zęby, a oczy ponownie zapłonęły czymś niepokojącym. Młodzieniec nie dał znać po sobie zdziwienia i zwilżył usta. Mimo że zawsze pili razem z gwinta, smak cier-

pkiego alkoholu dodał mu otuchy.

- Strasznie źle się czuję. Dobrze trafiłeś z tym powrotem.

- A zrobiłeś coś przez ten czas?

- No coś tam tak...

- Jakieś balladki, co? – Januszek poufale szturchnął kolegę, a ten prawie stracił równowagę. – Dobra, dobra jak ty tak, to ja już nie pytam. Ach ci poeci... – Słowo „poeta” zabrzmiało jak najgorsza obelga. Roztrzęsiony Młodzieniec opróżnił filiżankę jednym haustem, a przyjaciel od razu ją napełnił. – Pij, pij, poprawi ci humor.

W tym miejscu trzeba wspomnieć, iż Młodzieniec grał w jednym z tych niezależnych zespołów, które pluja przekazem i poezją, a instrumentów używają li tylko do zagłuszania publiki. Na domiar złego był jego tekściarzem, choć sam wolał, by nazywano go poetą. Miał w zwyczaju nosić przy sobie kieszonkowy dyktafon, nagrywać co ciekawsze rozmowy tudzież kłótnie, często celowo sprowokowane i wmontowywać je do utworów, nadając im tym samym sznyt społecznego zaangażowania.

Siedzieli przez dłuższą chwilę w milczeniu, a Januszek patrzył na współlokatora niczym Weissowski demon. Sięgnął po leżący na stoliku dyktafon. Młodzieniec otworzył usta w niemym proteście, został jednak zbyty kiwaniem palca i pobłażliwym grymasem. – Posłuchamy. – Nacisnął okrągły przycisk, a z głośniczka popłynął knajpiany gwar i dialog pomiędzy właścicielem sprzętu a pewnym znajomym.

- A czy ty wiesz, że kamień żyje? – Ton Młodzieńca można by przyrównać chyba tylko do pijanego belfra-sadysty, który dorwał niezbyt rozgarniętego ucznia-ka na imprezie.

- Nie wiem.

- A czy kamień wie, że kamień żyje?

- Nie wiem.

- Więc jeżeli człowiek wie, że kamień żyje, jeżeli człowiek wie, że człowiek żyje, ale człowiek nie wie, czy kamień żyje, to jeżeli kamień żyje i drugi kamień też żyje, to wiedzą o swoim istnieniu? O tym, że mogą istnieć? Czy to, że człowiek nie wie, że one mogą istnieć ma wpływ na to, czy one mogą istnieć?

- Nie wiem... Mam swój świat, nie chcę tego zagłębiać. Studiuję, pracuję... – Studentowi lekko łątał się już głos, a kilka zastępów szarych komórek wbrew rozkazom próbowało sforsować zagadkę istnienia. – Ej, nie śmieję się!

- Ja się nie śmieję... Nie śmieję się. – Młodzieniec powstrzymał śmiech.

- Ja chcę poświęcać czas samorealizacji! Uczyć się czegoś, czasem na imprezę wyjść...

- To ty jesteś typowym nihilistą! Jaka to jest ta samorealizacja?

- No poznawanie ludzi, studia i tak dalej. Żeby dobrze mi było...

- Nie, ty jesteś satanistą-hedonistą! – Młodzieniec wybuchnął śmiechem. Minęło kilkanaście sekund zanim dało się zrozumieć resztę rozmowy.

- Powiedz mi, czym się różni nihilizm od hedonizmu?

- No... Mmm... Niczym.

Przy kolejnym wybuchu Januszek wyłączył nagranie, a Młodzieniec przypomniał sobie, jak wychodził

z tamtej knajpy, zostawiając przy barze zaszczutego i kompletnie zalanego kolegę.

- Ładnie zryłeś mu głowę, nie ma co... – Januszek z aprobatą pokiwał swoją. Chwilę szperał w pamięci dyktafonu, po czym puścił inną rozmowę.

- ...zawsze go tępisz. Przez to, że jest słabszy. Lubisz dręczyć słabszych. Odkąd pamiętam. Tylko teraz w inny sposób. To jest ten sam prymitywizm, ten sam prymitywny sposób bycia, tylko kiedyś był fizyczny, a teraz jest fizyczny do pieska małego. A tak normalnie to starasz się intelektualnie kogoś zbić, albo udowodnić, że masz rację, nawet jeśli wiesz, że jej nie masz... – Mówił młodszy brat Młodzieńca, a jego aż zemdliło.

- Wyłącz to! – Krzyknął, a Januszek skwapliwie go posłuchał, poklepał po ramieniu i napełnił filiżankę, której zawartość zniknęła podczas słuchania.

- Taki już jesteś. – Pocieszył przyjaciela i wcisnął play.

- Najzłośliwszy człowiek na świecie! Jesteś najzłośliwszym człowiekiem jakiego znam. Złośliwy skurwel! – Zawodził żałośnie znajomy z czasów szkolnych, który po wypiciu morza piwa na spotkaniu klasowym zdobył się na wygarnięcie dawnemu koledze.

- Jestem taki, bo mnie tak diabeł wychował! – Zażartował tamten.

- Zawsze taki byłeś. W nikim nie ma tak dużo... tak dużo... – Chłopak musiał pomyśleć, zanim znalazł odpowiednie słowa. – Tak dużo jadu skumulowanego przez lata do mojej osoby. Jadowity człowiek!

- Skaczę do ciebie na głowie! – Młodzieniec przypomniał sobie, jak rytmicznie uderzał czołem w blat, a impreza radośnie zagłuszyła wyrzuty Rybickiego. W szkole faktycznie uprzykrzał mu życie na różne wymyślne sposoby.

- Ale to cipa była, no nie? – Januszek wcisnął stop.

- Odlóż to, pogadajmy. – Wstuchiwał się we własny głos i zamiast wymarzonego siebie słyszał słabość i kompleksy przyprawione wadą wymowy.

Najbardziej mierzził go nerwowy śmiech, bardziej pasujący do obozowego kapo niż wyobrażenia Młodzieńca o Młodzieńcu.

- No to jak tam te twoje, ekhm, utwory? – Spytał niby to od niechcenia Januszek.

- Gotowego jeszcze nic nowego, ale coś tam jest. Cały czas pracuję... Po nocach głównie.

- Właśnie widzę! – Kawalerkę przeszył nieprzyjemny rechoć, jakże inny od naturalnego śmiechu Janusza.

- Właśnie widzę. A Wolak grał na Rynku ostatnio.

- Nawet miałem tam iść! – Młodzieniec ożył, zadowolony ze zmiany tematu. – Ciekawe, co nowego spłodził.

- Jak to leciało? – Janusz zmarszczył nos udając wysiłek. – Aa, wiem już! – I zaczął nucić, naśladując „angielską” manierę Wolaka:

*Tak bardzo bym chciał
zabrać cię właśnie tam,
gdzie wszystko jest
jak utopijny raj.*

- Najlepsze jest i tak to! – Młodzieniec aż zatarł ręce, przybrał napuszoną pozę i przedrzeźnił Wolaka:

*Moja głowa jest już pełna
Pełna marzeń nie spełnionych
Może kiedyś mi się uda
By wyrzucić je
Z tej głowy! Yeah!*

- Geniuszek zasrany. – Dopił wino, a towarzysz ponownie napełnił mu filiżankę. Już wcześniej poczuł ciepłotkę pod czaszką, a teraz przyszło ogólne podniecenie i winna beztrojska. Nie przejmował się już ani sobą, ani swoim głosem i tylko dziwiło go, że jeszcze przed chwilą uległ tak głupim nastrojom.
- Wiesz co, Januszek, ja nie mam tak, że Wolaka nie lubię tylko... No, wyjebane w niego mam. Taki chłopak na trzy z plusem.
- A ty na ile jesteś? – Spojrzenie kumpla kryło ogromne pokłady pogardy, co nie umknęło uwadze Młodzieńca, a odebrawszy mu dobre samopoczucie, wpędziło w dół jeszcze głębszy od tego, z którego przed chwilą wyszedł.
- O co ci chodzi? – Nie potrafił wyartykułować żadnej innej odpowiedzi.

Nie wiedzieć czemu Młodzieńcowi przypomniało się nagle, jak w wieku lat sześciu, może siedmiu, szedł z mamą za rękę przez miasto. Już wtedy lekko kuląta przez dziwną chorobę, która rozsadziła jej stopę. Żył wówczas pewien bezdomny, którego głównym atutem przy żebraniu była potwornie opuchnięta, zdeformowana wręcz noga, pokryta ciekącymi strupami. Chłopiec wskazał tłustym paluszkami na kłoszarda. – O, mam, tak będziesz kiedyś wyglądać!
- Wyseplenił, a na pulchniutkiej twarzyczce wykwił szczerbaty uśmiech.

- Wolak, ten Wolak „na trzy z plusem” - Ciągnął Januszek. - naprawdę dużo zrobił jak na swój wiek. Jeździ konno i na desce, wygrywa konkursy fotograficzne, studiuje na zajebistej uczelni, ma dziewczynę i to całkiem ładną, obrazy maluje i rysuje, jego zespół gra na dużych imprezach, a i płytę niedługo wydadzą w Universalu.

- Wszystko mierność! Niczego nie robi naprawdę dobrze. Bez charakteru, mała by się tak nauczyła!

- Wyrobi się, wyrobi. Już jest dużo lepszy niż był, powiedzmy, dwa lata temu. A ty? Co zrobisz... naprawdę dobrze?

Młodzieniec poczerwieniał i otworzył usta, nie złapał jednak tchu i nie zdołał niczego powiedzieć. Drżał na całym ciele i nie pomogło nawet opróżnienie filiżanki. Widząc minę przyjaciela Januszek oblizał z zadowoleniem wargi, dolał mu wina i ponownie sięgnął po dyktafon. - A sam chciałeś gadać... - Wciskając play zaprosił do pokoju zapłakaną kobietę.

- Niewdzięczność i żadnych uczuć wyższych. Ty nie masz żadnych uczuć. Tak, nie jesteś zdolny do miłości, ty własnej matki nie kochasz, która by wszystko dla ciebie zrobiła. Ja cię zbyt kocham, wiesz? Jestem wybitnym prawnikiem, wybitnym adwokatem. Kolejki się ustawiają do mnie, muszę po nocach siedzieć, a ty mnie nie kochasz i nie szanujesz. Jeszcze mnie poniżasz. Ty, dziecko, nic nie osiągnąłeś, a poniżasz wybitną kobietę. Nie kochasz mnie po prostu,

a ja cię strasznie kocham i to jest mój błąd życiowy. Jakbym cię tak nie kochała, to... to byłoby lepiej. Mogłam cię wyskrobać. A ja cię bardzo kochałam i wyrosłeś na takiego dużego byka i mnie dręczysz. No i co się śmiesz? Co cię tak śmiesz?

- Nie błażnij się kobieto, to się nie będę śmiać.

- Ach, gdybym mogła cię zabić...

- Spierdalaj z takimi tekstami! O co ci chodzi?

- To moje mieszkanie, utrzymuję cię jeszcze! Mogę je wynająć za grubą kasę, ale ja jestem taka naiwna, że trzymam w nim darmozjada, który nienawidzi własnej matki i jej nie szanuje. Pamiętasz ten film o katastrofie statku? Jak syn starego ojca bił wiosłem po rękach i je wyłamywał, jak ojciec podpłynął, bo nie było już miejsca w szalupie? Taki właśnie jesteś, to jesteś ty!

Januszek uciszył kobietę jednym ruchem palca i protekcjonalnie pogłaskał przyjaciela po policzku.

- Wielu wybitnych ludzi to wariaci albo skurwysyny.

- Spojrzał na Młodzieńca z udanym uznaniem. Widząc, że ten połknął haczyk, pobłażliwie poklepał go po twarzy. - Wybitnych... Wybitnych, mój drogi. Wybitnych! - Podniósł głos i teatralnie pogroził mu palcem. Chciał coś dodać, ale zarechotał z żalosnej miny kompana. Na pocieszenie napełnił filiżankę, a pustą butelkę schował pod kanapą. Młodzieniec wlał czerwony płyn do gardła i zlustrował pokój szklistymi oczyma, jak gdyby dopiero co odzyskał świadomość po długim śnie. Patrzył nie widząc na cień Janusza, a gdy ten rozpułnął się w niebycie, zanurzył się w odmętach rozgorączkowanej pamięci.

Jako piętnastolatek jechał na rowerze, a drogę zastąpiła mu starsza kobieta przyciskająca dłoń do klatki piersiowej. Nie mogła złapać tchu i padła na chodnik. Odjechał czym prędzej, modląc się do siebie, żeby nikt go nie zobaczył. We wczesnym dzieciństwie, widząc rówieśnika siedzącego na wysokim murku, popchnął go od tyłu bez żadnego powodu. Dzieciak cudem nie roztrzaskał sobie głowy o beton. Rzucił ciężarną kotką... Podпалиł mrowisko.

Napluł pokryjomu do większości kanapek przygotowanych na kiermasz świąteczny. Wykręcił bratu rękę. Posłał salwę kamieni chudemu pijackowi ze szklanym okiem. Z kolegami. Założył zespół. Na szczęście matka kupiła nową. Lepszą. Gitarę. Bo dzień wcześniej zalał ją piwem. To było już gimnazjum. Nasypał trzpilek do przypadkowego bucika w szatni. Rozmiar? Trzydzieści. Napisał wiersz z muzyką. Dobry czy kiepski?

Wskazał tłustym paluszkami na gnijącą kończynę biedaka i wyseplenił „Mamo, tak będziesz kiedyś wyglądać!”, a stopy porosły mu czarnym włosiem. Wkrótce kudły pokryły całe ciało oprócz twarzy, a raczej pyska. Wytknął paluchem zwłoki rodziców i zaniósł się piskliwym chichotem. Wrócił do wioski, a tam przywitano go z radością. Stara mała poprosiła o radę. Pomógł jej jak umiał najlepiej, mistrzowsko grając przyjemność z pomagania bliźnim. Gdy odeszła, udał się na peryferia osady i zwabił młodą papużkę garścią owoców. Powolnym ruchem wykręcił skrzydełka, a dzióbek zatkał kamyczkiem. Była cicho. Gdy swoje już wycierpiała, odgryzł łebek i wypłuł w krzaki. Wieczorem z dobrotliwym majestatem kroczył przez osadę, człekokształtni składali mu wyrazy szacunku,

lecz jego dusza była już wśród najohydniejszych ze zwierząt.

Obudził się przed czternastą. Jak zwykle po winie zaślinił poduszkę. Rozciągnął kości i wyjrzał przez okno. Padało. Przemoczeni przechodnie szukali schronienia w bramach i pod parasolami, a Młodzieniec podziękował sobie, że nie musi nigdzie dziś wychodzić. Patrząc w lustro postukał się w czoło - wczorajsze rojenia wydały mu się raczej śmieszne niż straszne.

Samopoczucie miał całkiem dobre, toteż po wypiciu soku zamówił pizzę i zasiadł do laptopa. W między czasie przeciągnął palcem po wyświetlaczu iPhone'a i odruchowo zadzwonił do współlokatora.

- Za ile będziesz?

- Za dwa dni. Nie, nie zaaa... za tydzień. Za tydzień będę na stówę. - Odpowiedział Januszek, gapowaty i sympatyczny jak zwykle.

- Do zobaczenia!

Pivot

Mateusz Grzeszczuk

a całe milczenie na jej sznurze od bielizny.
najgłębsze fazy i senny raut. ciało w zawieszeniu.

zaledwie dwadzieścia moich warg pochylało się
ku ziemi, a niebo było sine. niebo chciało upaść.

i chciało się mówić, tak w te dni cieplejsze,
kiedy słowo ślizga się po czarnym czole.

a całe milczenie na jej sznurze od bielizny.
każdą suchotą rozchyłało ci uda. jakbym wiedział?

że wyciśniesz przez dłonie.
że wyrwiesz ze stóp.
zamilczałbym.

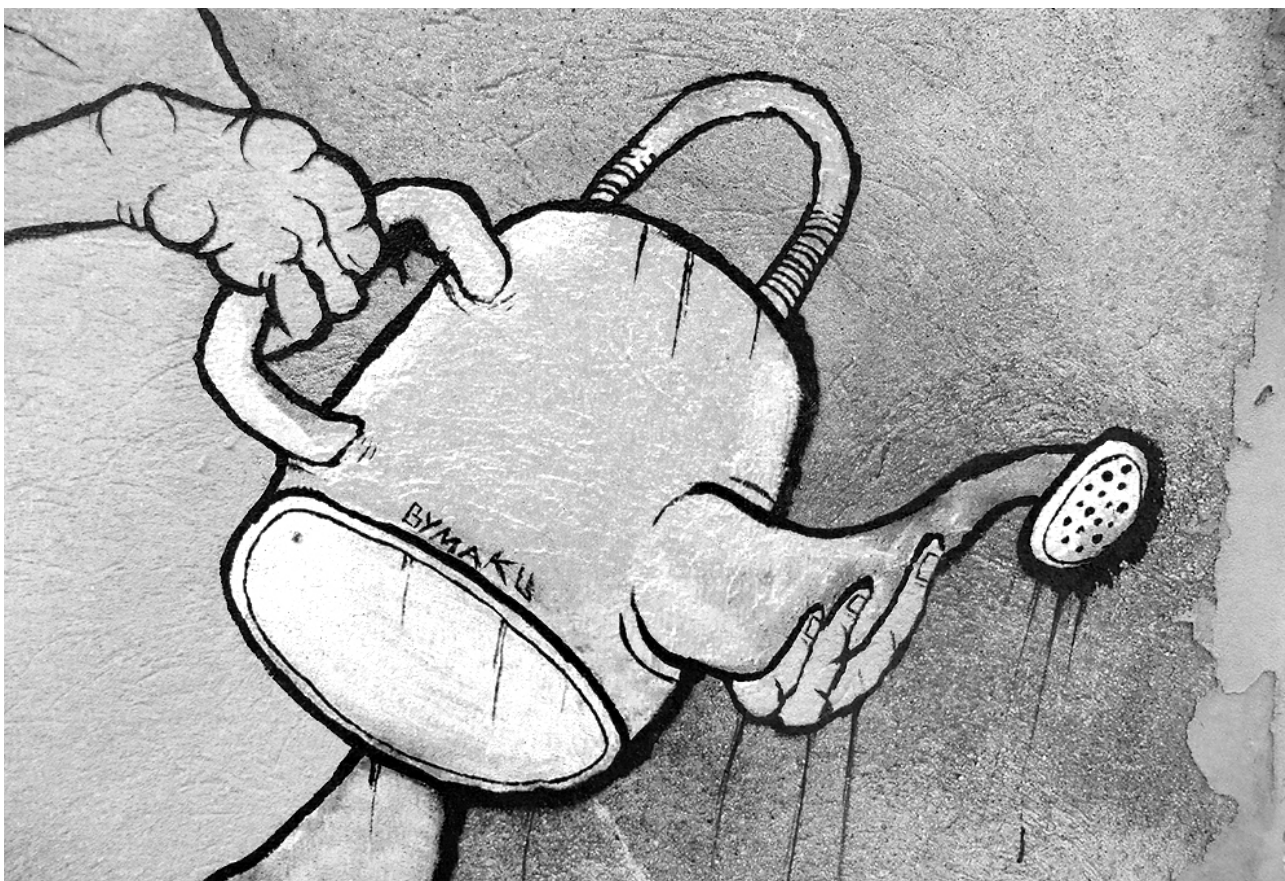
Nie patrz na nos

Agnieszka Horodyska

Muzyka nic nie da poezja się stoczy
Do pustych rynsztoków jeśli te oczy
Będą błyszczały nad takim nosem
Brzydka ciekawa - godzę się z losem

Muzyka nic nie da poezja się skończy
W tym smutnym ciele jeśli nie złączy
Nas cudna-chwila jeśli nie wstąpisz
Tam przez źrenicę gdzie żółknie żonkil

Muzyka nic nie da poezja się spali
Gdzieś w innym ogniu gdy nie ocalisz
Mnie od nieważnych kwiatków-rozkoszy
Chcę być pochodnią popatrz mi w oczy



rys. Mateusz Kluczny

Knedle czy schabowy?

Katarzyna Nowicka



fot. K. Dubiel / Instytut Książki

Katarzyna Nowicka: Jaka jest najbardziej uderzająca różnica, kiedy porównuje się Czechów i Polaków?

Mariusz Szczygieł: Powiedziałbym, że jeśli spotykamy pojedynczego Czecha i Polaka, to wielkiej różnicy nie ma. Większość jest blondynami, mężczyźni mają brzuchy – Czesi są w ciąży piwnej, a Polacy w spożywczej. Natomiast jak spojrzymy na dominujący rys w ich kulturze, to widać ogromną różnicę. Kiedy umarła siostra Łucja z Fatimy, polska prasa napisała, że umarła sławna siostra Łucja, która rozmawiała z Matką Boską, a czeska prasa napisała, że umarła siostra Łucja, która podobno rozmawiała z Matką Boską. I to jest ta różnica. Kultura czeska to kultura wątpliwości i pytań, a kultura polska dla mnie to kultura, która poprzez katolicyzm i naszą religijność zna już odpowiedzi. My je znamy, a oni ich gdzieś ciągle szukają.

KN.: Jak Czesi odnoszą się do Polski? Jak w ogóle odbierany jest naród polski przez Czechów, biorąc pod uwagę ich stosunek do własnego państwa?

MS.: Myślę, że dla wielu Czechów Polacy po prostu nie istnieją, czyli się nimi nie interesują. Dla wielu Czechów Polacy to naród troszkę zacofany. Bardzo często mnie pytano, czy to prawda, że w polskim parlamencie była modlitwa o deszcz. Była. „Jak to, wy mieliście modlitwę o deszcz, jak w średniowieczu?”. Ja mówię: „No, mieliśmy”. Cóż miałem powiedzieć. Dla pewnej części Czechów jesteśmy narodem, który bardzo zadziera nosa, chce nadać ton w Unii Europejskiej, a jednocześnie jest troszkę staroświecki. Jeden kolega Czech mi powiedział: „Słuchaj, wy, Polacy, macie taką narodową nerwicę. Ciągłe nie wiecie, czy jesteście już dostatecznie wielcy i ważni, jak Francja i Niemcy, czy nie. A my tej nerwicy nie mamy, ponieważ my wiemy, że nie jesteśmy tak dostatecznie wielcy i ważni”.

KN.: Czy po napisaniu reportażu o Czechach wchodzi w polemikę z Panem tamtejsi pisarze?

MS.: No, niestety, prawie nie. Jakoś im się to podoba. Wynika to z tego, że piszę sposobem, w jaki się w Czechach nie pisze. Tam prawie wcale nie ma reportażu. Ja uprawiam reportaż literacki, czyli łączę fakty i piękno. To, co się autentycznie zdarzyło,

chcę pokazać w sposób trochę literacki. U nich tego nie ma – są albo opowiadania, albo typowe reportaże, w związku z tym oni lubią ten mój styl pisania, bo to jest coś nowego. W polemikę nie wchodzi, ale piszą piękne recenzje. Ta druga książka, „Zrób sobie raj”, miała kilka chłodnych recenzji. Wreszcie się to zdarzyło. Czesi uznali, że zbyt subiektywnie ukazałem kulturę czeską, mimo że zapowiadam na początku, że to nie jest obiektywna książka, tylko to jest książka o tym, co mnie się podoba i na mnie robi wrażenie. Zbyt dużo według nich zajmuję się śmiechem, a za mało ich smutkiem. Może troszkę za mało, ale zajmuję się. Czescy recenzenci uwielbiają czepiać się drobnych błędów – jak na przykład o rok pomyłę się w czymś albo dwa kilometry się pomyłę w odległości, to bardzo lubią to wypunktować.

KN.: Przechodząc do polskiego reportażu, jak Pan ocenia kondycję współczesnego polskiego reportażu i jaka jest jego pozycja na międzynarodowej literackiej scenie?

MS.: Nie wiem, czy można mówić o wielkiej pozycji na międzynarodowej literackiej scenie. Za wielką pozycję uważam książkę Jonathana Littella „Łaskawe”, która wyszła we wszystkich krajach, miała fantastyczne recenzje, była szeroko dyskutowana. Polski reportaż toruje sobie drogę w Europie i świecie. Rzeczywiście, nigdy polscy reporterzy (ani sprzed wojny, ani ci z lat 70., ani ci z lat 90.) nie byli tak często przekładani, jak my teraz. Tylko moje książki wychodzą w 14 językach, wielu z nas ma lub będzie miało książki w Stanach. Teraz się dowiedziałem, że mój reportaż jest w Chinach na polonistycie tłumaczony w ramach zajęć obowiązkowych nacihiński. Hugo-Bader, Jagielski, Tochman, ja – to są książki, które wychodzą. Mamy sporo tych tłumaczeń. Jesteśmy chyba po Kapuściński i po Krall najbardziej przekładanymi autorami. To tyle, jeśli chodzi o Europę. Europa poznaje ten sposób pisania: że można nie zmyślać, a pisać literacko. To jest fascynujące. W Szwecji nawet ukazała się recenzja: „Dlaczego my nie mamy tego, co mają Polacy?”. W całej Europie są takie recenzje. Jeśli chodzi o Polskę i o to, czym jest dzisiaj reportaż, to muszę powiedzieć, że jest kolejny złoty okres reportażu. Już tak dużo nie pisze się o Polsce, ale polscy reporterzy bardzo interesują się światem. Piszą mnóstwo książek reporterskich ze świata, ponieważ Polacy się interesują światem. Polacy są naprawdę otwartym narodem, który dużo podróżuje, dużo chce wiedzieć, który ma też szerokie horyzonty. Mimo że u nas rzeczy mają jeszcze taki prowincjonalny sznyt, to nie znaczy, że my świata nie doceniamy i mu się nie przyglądamy. Polacy chcą czytać o świecie, chcą rozumieć.

KN.: Czyli młodzi polscy reportażyści wybierają sobie tematy głównie światowe?

MS.: Zauważyłem, że tak, ale są też tacy, którzy lubią pisać o Polsce. Na przykład polska szkoła reportażu, którą założyliśmy z Wojtkiem Tochmanem i Pawłem

Goźlińskim jako fundacja Instytut Reportażu, gdzie my tylko przez rok ćwiczymy w warsztacie dziennikarzy – to są młodzi ludzie, którzy dużo piszą o Polsce, zwłaszcza w „Dużym Formacie” i „Gazecie Wyborczej”. Wierzę, że powstanie z tego dużo fajnych książek reporterskich, właśnie o Polsce.

KN.: Od czego zależy, czy reportaż będzie naprawdę autorski – czyli co Pan myśli o uwiarygodnianiu reportażu poprzez angażowanie się w działanie i pisanie z właśnie tej perspektywy?

MS.: Chodzi o reportaż wcieleniowy – że ktoś się wciela w postać albo reportażysta udaje kogoś?

KN.: Tak, tak jak Hugo-Bader przebrany w „Białej gorączce” za bezdomnego.

MS.: Tak jak niemiecki reporter Günter Wallraff, który udawał i Turka, i redaktora tabloidu. Bardzo popieram takie dziennikarstwo i taki typ reportażu. To jest najbliżej ludzi, jest się wtedy najbliżej tej materii, tego życia, tego mięsa. Jestem zwolennikiem takich reportaży, ale uważam, że wcieleniówka musi czemuś służyć. Nie może być wcieleniem dla samego wcielenia. Nie może to być sztuka dla sztuki. To musi mieć swój społeczny sens. Dobrym przykładem jest to, co przeczytałem ostatnio w „Dużym Formacie”. Dziennikarz TVNu, pół-Kubańczyk, pół-Polak, udał Kubańczyka, który jest uchodźcą i zamknięto go w Białymstoku w ośrodku dla uchodźców. Kamera ukrytą w ubraniu nagrywał to, co się dzieje w tym miejscu i ujawnił okropne panujące tam stosunki – straszny świat, straszną ukrytą twarz Polski. Dla mnie to jest dziennikarz roku. Wprawdzie tego nie pisał, a zrobił reportaż telewizyjny dla programu Tomasza Sekielskiego, ale dla mnie jest to coś fantastycznego, jeśli czemuś to służy. Zrobiło to na mnie ogromne wrażenie. To, co ja uprawiam, to jest inny typ reportażu – ja się bawię formą – zawsze mam jakiś cel w tym pisaniu. Uważam, żeby ten reportaż czytelnikowi został w głowie, a żeby nie chciał mu się odkleić od mózgu, to ten reportaż musi mieć formę. Ja jestem

bardziej miłośnikiem formy, która służy temu, żeby się lepiej komunikować z czytelnikiem.

KN.: Przeglądając teksty z antologii reportaży z dwudziestolecia Polski postkomunistycznej, co Pan myśli o przemianach, jakie się wydarzyły w Polsce w ciągu tego czasu? Mamy Złote Tarasy, mamy Pendolino, ale jak się zmieniło wewnętrznie społeczeństwo i czy są jakieś ewidentne różnice?

MS.: Myślę, że są... Pani jest za młoda, żeby to zauważyć, ale ja widzę, bo jestem starszy, że ludzie się mniej boją odezwać, są bardziej śmiali, świadomi swoich praw, dopominają się o swoje, protestują, są bardziej asertywni. I to jest duży postęp. Bardzo często widzę to w Czechach, że niemilej sprzedawczyni, która zachowuje się jak za komuny, nikt nie zwróci uwagi, a tutaj tak. Poza tym, Polacy, mimo ogromnych obszarów biedy i wykluczenia, które ja widzę, ogromna grupa wzięła sprawy w swoje ręce. Ta przedsiębiorczość polska, ta fantazja polska jest niesamowita. Najlepiej to było widać na początku lat 90. W mojej książce „Niedziela, która wydarzyła się w środę” jest taki reportaż „Polska w ogłoszeniach”, w którym pokazuję, jak Polacy są przedsiębiorczy. Znalazłem ogłoszenie: „Podpowiem, jak urosnąć. Maks ze Skierniewic”. Napisałem do tego Maksa. Okazało się, że jest to rada, za którą trzeba zapłacić na pocztę. Maks żyje z tych rad, które są oszukańcze. Rada brzmiała: „jeśli chcesz urosnąć, musisz dużo chodzić po górach, żeby ci się wyciągnęły stawy. Jeśli w twojej miejscowości nie ma gór, musisz chodzić po schodach w wieżowcach”. Oczywiście, że z jednej strony to jest ściema i oszustwo, a z drugiej ten chłopak znalazł sposób na zarobek i to nie niezgodny z prawem. W latach 90. na ze wszystkich giełd europejskich to na polskiej było najwięcej prywatnych graczy – nie firm, a pojedynczych ciułaczy. To o czymś mówi.

KN.: Ostatnie pytanie: knedle czy schabowy?

MS.: Ani to, ani to. Sushi.



fot. Martyna Woch

Biuletyn redaguje zespół uczestników sekcji literackiej.

Redaktor prowadzący: Paweł Łęczuk

Współpraca: Darek Foks

Projekt okładki: Zuzanna Rogatty

Skład i łamanie: Szymon Piasta

Rysunki: Mateusz Kluczny

Zdjęcia: K. Dubiel, Paweł Łęczuk, Martyna Woch, iswinoujście.pl

Framgment maskotki nr 1. Kolejne części w przygotowaniu.

Predator prowadzący



bez

Martyna Tomczyk



masz piękne białe włosy i nic dla mnie nie znaczysz
zawijam obrazki na wakacyjne klisze i do jutra będzie po wszystkim
uśmiecham się nieprzypadkowo w zupełnie inną stronę

Ktoś cię zawołał w obcym języku